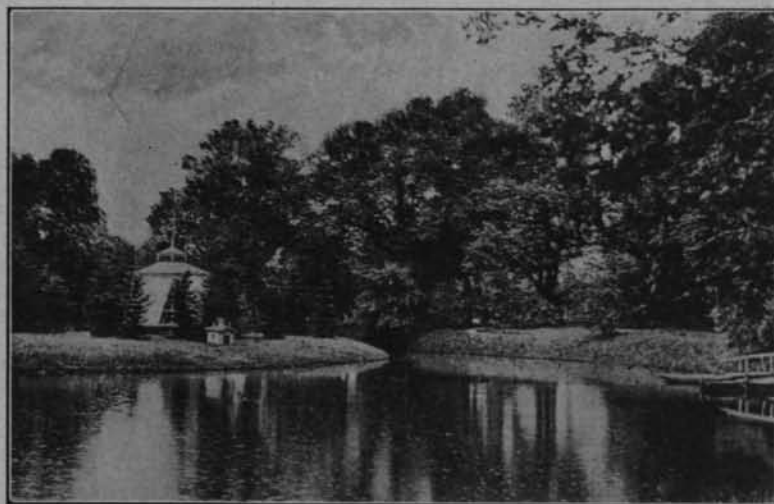




Nalęczów dzisiejszy i jego znaczenie. ²⁾ (dok.).

Powstała „Macierz“ — zrodziło się i „Światło“ z piękną ochroną dla dzieci, powstały dwie kooperatywy spożywcze, z których oczywiście — utrzymała się tylko jedna, tak samo, jak pozostała też tylko jedna kooperatywa oświatowa. Założono Towarzystwo Kredytowe dla włościan i rzemieślników, które z biegiem czasu, rozwijając się pomyślnie, przybrało charakter banku miejscowego, partykularnego. Jednym słowem, z konkurencji o czyn społeczny, z walki właściwie nie stronnictw a stronek („za rzeczką“ i „z tej strony rzeczki“) o robotę kultury, wypadły instytucje prawdziwej potrzeby życia. I jazgot swarliwy znów cichnie powoli, znowu sama zaduma dziejowa zawłóczy smętkiem i ciszą marzące aleje parku i między ludzkie waśnie kładzie — zmęczenie. Nad tłumem zawsze górują jednostki. One są jako wiatr; — gdy wiatr dmie, trawa się pochyla. Warto obejrzeć i ochronę „Światła“ i stylową piękną chatę Żeromskiego, w której autor „Bezdomnych“ i „Popiołów“ snuł wątek i bezdomnych i popiołów przed czarodziejskim iście krajobrazem ziemi tych ostatnich, — lecz warto i w domu

„Kursów rolniczych dla włościan“ zapoznać się z nimi i z „Muzeum ziemi Lubelskiej“. Praca to dźwignięta siłą jednostki — doktora Wacława Lasockiego, bajecznego zbieracza i dźwigacza. Potrafił on już w życiu uzbierać okazałą bibliotekę dzieł, przeważnie dotyczących się naszej kultury narodowej, i podarować ją Bibliotece Jagiellońskiej. Prawdopodobnie, żeby nie wyjść z wprawy, resztę spracowanego życia poświęca Kursom i Zbiorom Muzealnym, w które wkłada duszę, czas i... pieniądze. Nie potrafiłbym wy-



STAW W PARKU ZAKŁADOWYM W NAŁĘCZOWIE.



powiedzieć jakiegokolwiek zdecydowanego sądu o tych zbiorach krajoznawczych, — zdawkowy zachwyt byłby ubliżający dla autora i idei, krytyka byłaby przedwczesna i jeszcze mało uzasadniona. Lud ziem królewskich Lubelszczyzny ma tak wybitny indywidualizm i tak niepośledniej miary cechy etniczne, że — oczywiście — dużo rzeczy samo się rzuca w oczy i wprost o zanotowanie prosi.

Muzeum nie miało jeszcze czasu na selekcję detaliczniejszą i ocenę bardziej drobiazgową materiału folklorystycznego, ciągle jeszcze jest w stanie początkowego, hurtowniejszego zbierania.

Z drugiej zaś strony jest to metoda (jeżeli chodzi o dalsze rezultaty) bodaj najwłaściwsza ze względu chociażby na to, że tego rodzaju utrwalenia kultury ludowej są u nas dopiero w okresie ząbkowania i zawodowych metod ani wskazanych dróg jeszcze nie mają. Najbardziej jednolite są — oczywiście — zbiory przyrodnicze, a poza nimi — stroje ludowe. Modele chat i obejść mają jeszcze braki, a archeologia sprzętów domowego użytku jest dopiero zapoczątkowana. Podkreślam te rzeczy skwapliwie dla uniknięcia czyichkolwiek przedwczesnych zbyt specjalnych sądów. Kto się nie zmęczy oglądaniem Muzeum ziemi lubelskiej, musi jeszcze z równym pietyzmem obejrzeć pomoce naukowe Kursów rolniczych, dar bajecznej pracowitości i poświęcenia dla swojej szkoły doktora Lasockiego i doktorowej Walickiej.

W tych lepionych, klejonych i strzyżonych okazach nauki poglądowej jest cała szkoła roboty, szkoła cierpliwości, oddania i pracy. Lepszy to pomnik, zostawiony uczelni, od niejednych programów i zleceń. Idea zdrowa i szczerą jest mocną szczepionką, krzewi się na zagarniętych dzieckach silnie i posilnie. Nic też dziwnego, że kursy rolnicze dla młodych chłopów włościańskich wywołały dzięki instynktom równouprawnienia płci obojga — potrzebę otwarcia analogicznych kursów gospodarstwa wiejskiego dla dziewcząt. Radosne się odbiera wrażenie, patrząc na zastępy słuchaczy obydwóch instytucji, zgromadzone razem, czy to w kościele, czy też w jakim uroczystym momencie. „Damy klasowe“ i wychowawcy są tu zbyt liczni, zagroda wiejska, droga i pastewnik dawno wymyśliły pewną postać koedukacji lepszego gatunku, której matką chrzestną jest dola chłopka. Ta powaga pierwiosnków cywilizacji, uroczysty ton i namaszczenie, które daje poczciwie założona ciekawość wiedzy, zdrowie du-

chowe i szczerłość natury prostej każą się nam wzruszyć myślami, jakież to pokolenie z takich oświeconych polskim kagankiem stadeł wyrosnąć może?...

Azaliż „strudzeni oracze“ ujrzymy cię jeszcze oczyma naszymi przy kieracie pracy narodowej dobra, młoda siła?... Po drodze rzucamy myślami kwiaty na grób tych, którzy tego nie dożyli, całe życie o tem marząc: Faustyny Morzyckiej i Mieczysława Brzezińskiego. Pamięć o nich tutaj nigdy nie zaginie.

Ale nic nie powiedzieliśmy jeszcze o tak zwanej „zabawkarni“ i „koszykarni“. Dzieje tych instytucji, posiadających już obecnie własne okazale ubikacje, są bardzo ciekawe. Już sami właściciele Nałęczowa przed 20 laty nosili się z myślą założenia warsztatów dla kształcenia chłopców bezrolnych w kierunku zawodowym. Były próby początkowania tego w warsztatach zakładowych, założono orkiestrę miejscową z chłopaków — (później rozchwiano ją i rozbiegła się) próbowano niektórych chłopców wysyłać do nauki dalej i t. p. Na pomoc tym początkowaniom przyszedł zapis Blocha i Towarzystwa popierania przemysłu ludowego. Dzięki im ma Nałęczów jedne z najpierwszych w kraju szkół zawodowych dla ludu, prosperujących dobrze, wypuszczających rzemieślników dobrych i ludzi uszlachetnionych — na szarugi naszych ugorów. Oczywiście taka instytucja samem swoim istnieniem przyczynia się do podniesienia poziomu moralnego młodzieży okolicznej, pokazując, gdzie najbezpieczniejsze dla uczciwego chłopca leżą pieniądze. Pierwociny talentu zjawiały się wśród nich pozatem zupełnie samorzutnie. Jest kilku snycerzy — samouczków, kilku „literatów“, — bez cudownych dzieci jednak obeszło się do tej pory szczęśliwie.

Nałęczów, jako punkt cywilizacyjny, bar-dzoby się nadawał na założenie zamkniętej (internatowej) szkoły średniej dla wątlých dzieci inteligencji, — na stacyę do wszelkich badań ziemio-krajoznawczych, na porządne zimowisko dla wszystkich słabeuszów, zmęczonych i uciekinierów od życia i własnego cienia. Stanie się to z pewnością, gdy się wyporzakują środki lokomocyjne (szosa, tramwaj od stacyi), wewnętrzna organizacja osady i gdy zwiększy się ilość domów murowanych z porządnymi piecami, gdyż spólczesne wille mają i wygląd i charakter egzotyczny, zupełnie wrzaskliwie sprzeciwiający się i wskazówkom dociekań miejscowej stacyi meteorologicznej i stylowi „nadwio-śląskiemu“ ruin kazimierskich śpichrzów i do-



LAZIENKI W ZAKŁADZIE NAŁĘCZOWSKIM.

mów. Pierwiastek wilgoci, drażniący wielu wątrobiarzy i żórawi podróżnych, ma genezę w zwartym gąszczu zwałów drzewnych, które ekscytuje do wzrostu ten życiodajny błogosławiony less i glinki lodowcowe. Ale opoka lubelska jest zupełnie przepuszczalna i gdy kto nos w Nałęczowie nosi z fantazją — na katar nigdy nie narzeka.

Jako krajoznawca, który w Nałęczowie również miał dzieciństwo „sielskie anielskie” i młodość „chmurną i górną”, pozwalał sobie jeszcze zabłądzić na koniec Nałęczowa, na jego przedmieście Charzowskie, do cichego dworku pana sędziego Henryka Wiercieńskiego, jednego z nestorów krajoznawstwa polskiego. Z tego dworku wyszedł „Opis statystyczny ziemi Lubelskiej”, cały tłum artykułów, notatek, wykazów, map, przyczynków do spraw gospodarki ludzkiej w naszej ziemi, ciekawe przyczynki i mapy do żywotnie bolesnej sprawy Chelmskiej, materyały do ruchu ludności w Lubel-

szczyźnie (niedocenione jeszcze odpowiednio) i t. d. i t. d.

Rozmowa z czcigodnym dziejopisem tej ziemi, rozmiłowanym w niej całą potęgą duszy roku 63-go, napelnia nas dziwnym uszanowaniem dla prastarych ścieżek tęsknoty ludzkiej do zbadania zagadek swego istnienia. Suche kroniki i głuche liczby często więcej mówią, głośniejsz krzyczą i cudnie śpiewają od nastrojowych madrygałów chwilowych uniesień farysowych.

Ziemia sama mówi za siebie i o sobie, pisze swą kronikę niezatartymi głoskami wiści odwiecznej. Oczy patrzące w nią inny mają wyraz, tęsknota grzebiąca w niej cieplejszą i jaśniejszą ma postać.

„Drzym sobie duszo, co ci do tego,
że tam myśl czyja po niebie lata,
że ktoś ciekawy początku swego —
ze starych grobów kurze omiata!”

Działacz, rycerz i poeta przypomina sobie o kronikarzu tylko wtedy, gdy kojarzenie wyobrażeń nasunie mu kurze, prochy, pajęczynę, dziurawe księgi, okulary i tym podobne ekstrawagancje przed oczy bystre i płonące. A jednak właśnie ten kronikarz tylko ma prawdę nieśmiertelności ducha przy sobie i w odpowiednim momencie przypomni im zawsze (jak się to ma właśnie z p. Wiercieńskim) chociażby to, że Nałęczów jak feniks odradza się sam z własnych popiołów.

Oby ten piękny przykład udało się jemu (Nałęczowowi — oczywiście) zaszcześcić i dalej.

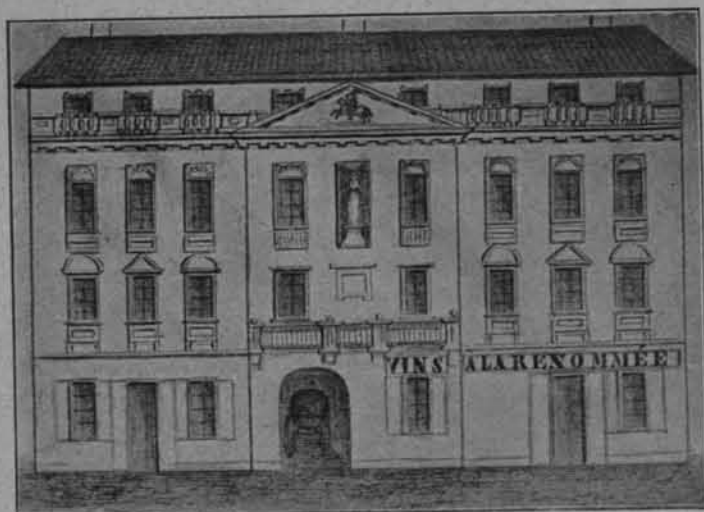
Leszczye.





DOM PO-TRYBUNALSKI W WILNIE ¹⁾

(z Placu Ratuszowego).



DOM PO-TRYBUNALSKI W WILNIE.

Ze zbiorów L. Uziębły.

Pragniemy zaznajomić czytelników „Ziemi“ z dziejami szeregu kamienic pamiątkowych wileńskich, z nieznanymi o nich, nowowykrytymi przyczynkami... Od gmachu potrybunalskiego pod b. Ratuszem, od domu związanego z imieniem Adama Mickiewicza, rozpoczynamy swe dociekania.

Oto leży przedemną rzadka litografia wileńska z widokiem tej, niedawno przerobionej niestety budowli, wznoszącej się przy b. rynku,—wprost historycznie pamiętnego placu Ratuszowego. Pamiątkę tę przechowuję w swych obfitych Wileńskich. Wykonana w zakładzie lit. Józefa Oziębłowskiego, wychowawca wszechnicy wileńskiej (wydziałów fiz.-matematycznego i sztuk wyzwolonych), ma podpis: „Dom Poznańskich w Wilnie“ i cenzurę rosyjską A. Muchina — „litogr. pozwol. Wilno 13 maja 1857 r.“ Plan-sza o dość cienkim papierze, podłużnej ósemce większej, była anonsem ilustrowanym hotelu, ile że po obu stronach widoku mieszczą się ogłoszenia w jęz. polskim i rosyjskim: „Właściciele domu Poznańskich w Wilnie, przeciw Ratusza na Niemieckiej ulicy, mają honor zawiadomić pp. przyjeżdżających, że w ich Domie są małe i duże Apartamenta na dobę od 50 k. do 3 r. s.“ ¹⁾ Szyld francuski na parterze wskazuje

¹⁾ O tym honorze pp. przyjeżdżających dotąd pamiętają wszyscy niemal faktorzy hotelowi wileńscy i wiele starszych kupcowych, nawet z ul. Szklan-

na istniejącą od frontu „winiarnię“. Fasada, w osnowie neoklasyczna, z ubogimi renesansowymi ozdobami okiennymi, nosi dość banalne cechy budowli architektonicznych mieszczańskich w grodzie Gucewiczów i Smuglewiczów ze schyłku wieku XVIII. Galeryjki i balkonik ożywiają monotoność linią pięter. Ale najpiękniejszymi dekoracjami gmachu są: herbowa Pogoń litewska, w tympanonie umieszczona, pod nią zaś, w niszy, posąg gipsowy Temidy. Jeszcze przed 10 laty oglądało Wilno na framudze onej boginię sprawiedliwości; uprzytomniali sobie ludziska genezę jej tu pochodzenia. Przed powstaniem zaś 1863 roku był i herb krajowy,—„wyrobiony z muru“, jak objaśniał Kirkor w „Przechadzkach po Wi-

lnie“—następnie jako „niebezpieczna“ reminiscencya lokalna zamurowany... Ojcom naszym dom ów przypominał rzewny obchód uroczystości Boż. Ciała z przed 1864 r. ¹⁾; tu bowiem jeden z ołtarzy ulicznych dla procesyjnego święta był urządzony, niezapomniany biskup Ad. Stanisł. Krasieński tłumnemu orszakowi w celebrze pontyfikalnej przewodził... Przed 12 laty kamienicę tę p. Andrzej Poznański, radny m. Wilna, sprzedał bankierowi Bunimowiczowi, w którego rękach dotąd się znajduje, atoli o zmienionej już fizyognomii: przed 10 laty przebudowano dom znacznie, do rozmiarów wysokiego gmachu i modernistycznych przyozdobień... Wszystkie cechy domu—pamiątki, jeszcze r. 1899 wiele przypominającego pierwotwór z końca XVIII w., kamienica utraciła.

Delegowani przez magistrat radni, Wład. Fiorentini i J. Suchecki, uprosili izraelitę Bunimowicza, żeby figurę Temidy oddał miastu na

leńscy i wiele starszych kupcowych, nawet z ul. Szklan-

nej, tytułują często „honorową panią“ i „honorowym panem“ osoby z inteligencji, zamożne, przynajmniej z wyglądu.

¹⁾ Rzecz ciekawa, że sędziwy izraelita tutejszy, nazywany przez młode pokolenie żydowskie mieszkańców domu „uprawiającym“, sam zaś uchodzący za „rządcego“, z poszanowaniem tradycje one przechowuje, o „świętej figurze“ (!) Temidy, o czci religijnej, ołtarzu i biskupie wspomina.



przechowanie, co też nastąpiło; jednak przy wydobyciu owego starego a dużego posągu z niszy, rozkruszył się on znacznie. Umiejętnie rzeźbę tę odrestaurował w r. 1904 artysta Józef Noworytto (krakowianin, w Wilnie osiadły)—poczem oddano go na przechowanie do b. klasztoru franciszkanów;—ustawiona jest właśnie w pięknej sali byłego refektarza, gdzie ś. p. J. Montwiłł krótkotrwałą „Giełdę pracy“ urządzał... Dzięki uprzejmości p. Noworytty, reprodukcję potrybunalskiej Themis podać możemy w „Ziemi“.

„Dom Poznańskich“ należał w starożytności do litewskiego magnata, Grzegorza Ościka, ścignętego d. 18 czerwca 1588 r., przed jego własną kamienicą, na placu Ratuszowym, a to z rozkazu Stef. Batorego,—udowodniono mu bowiem, że kraj zdradził przed Iwanem IV (Groźnym), pieniądze fałszował... Umieszczenie bogini Themis na gmachu jedni usprawiedliwiają legendą o karzącym Ościka bóstwie sprawiedliwości, inni, że—ten posąg—to godło rodu Ważyńskich, późniejszych właścicieli domu. Kirkor mniema, że któryś z Ważyńskich kazał postawić posąg, umieścić nadto Pogoń—wtedy, gdy z powodu naprawy gmachu Głównego Trybunału Litewskiego (który w pobliżu Bramy Zamkowej ongi się wznosił) urząd ów do tego domu się przeniósł na czas jakiś.

Przed kilkunastu laty, badając miejsca, upamiętnione byttem Mickiewicza, zainteresowałem się i kamienicą, o której traktuję w artykule niniejszym. Właściciel, p. Andrzej Poznański, ławnik magistracki, chętnie udzielił mi dokumentów. Z nich się okazuje, że kamienica ta, w której czas pewien zasiadały sądy trybunalskie, przez długi czas potem pozostawała nadrujnowana, niezamieszkała, a była własnością Skarbu polskiego. Dopiero podskarbi królewski ogłosił z Grodna licytację, na której w dniu 15 listopada 1788 r. nabył kamienicę za 80,000 złotych pol. Antoni Skarbak-Ważyński, sędzia oszmiański. I odtąd, przez lat 39, dom pozostawał w rodzinie Ważyńskich. W d. 16 września 1827 r. Marcin Sk.-Ważyński, marszałek oszmiański, sprzedał dom za 20,000 rubli Franciszkowi, synowi Józefa, Poznańskiemu, prezydentowi m. Wilna. Odtąd też kamienica ta stała cyfrą 296 po dziś dzień przez magistrat jest numerowana. Przy ul. Wielkiej notowana jest pod Nr. policyjnym 35; tyłem domu wychodzi na uboczną ul. Rudnicką, gdzie też się znajduje i brama wjazdowa. Później władał kamienicą syn Fr. Poznańskiego, doktor, wychowaniec uniwersytetu wileńskiego, również imię Franciszka noszący. Od r. 1889, przez ciąg lat



Ze zbiorów J. Uziębły.

POSĄG TEMIDY Z DOMU POTRYBUNALSKIEGO W WILNIE.

10 tylko, był ów dom historyczny w posiadaniu synowca ś. p. lekarza Fr. Poznańskiego, Andrzeja. Los licznych już, niestety, wslawionych świetnymi często wypadkami z dziejów Rzpltej naszej kamienic spotkał i tę po-trybunalską: przeszła nie z ostatecznej potrzeby sprzedawcy w ręce żydowskiego utylitarysty... Dobrze, że choć Themis przynajmniej, dzięki dobrej woli p. bankiera, ocalała. W tymże—warto nadmienić przy okazji—domu przyszła na świat wysoce utalentowana i ceniona wirtuozka fortepianu: z Poznańskich Zofia Rabczewiczowa, niegdyś uczennica Rubinsteina, stała zamieszkała w Petersburgu. Co do zmian w konstrukcji kamienicy, zaszytych jeszcze za doktora F. Poznańskiego, dodajmy, że bramę frontową, służącą do wjazdu od strony placu Ratuszowego, skasowano w siódmym dziesiątku XIX stulecia, zastępując ją drzwiami wejściowymi.

*

Mieszkał w tym potrybunalskim domu czas jakiś Adam Mickiewicz w r. 1824; składam na to dowody, prostując jednocześnie błąd autora „Śladami wieszcz“, popełniony w „Tygodniku



Illustrowanym“ w r. 1898. W ładnej tej, barwnie, z talentem nakreślonej pracy p. Napoleon Rouba nie jest ściśle dokładnym w tych oto ważnych szczegółach. W Nr. 14 Tyg. 111. p. R. pisze (na str. 275, w szp. 3-ciej): „Po opuszczeniu więzienia w lutym, roku 1824, Mickiewicz zamieszkał u Odyńca, w siódmym domu po lewej stronie, licząc od Niemieckiej ulicy, na placu Ratuszowym. Dom ten był własnością malarza Wincentego Ślendrańskiego“ i t. d. W Nr. 10 Tygodnika podana została ilustracja placu wraz z omawianym domem, w głębi placu widzialnym. Zmarły niedawno sędziwy art. m. Winc. Ślendrański rozpowszechniał na mieście ten rzekomo wierny szczegół, podobno z lat wczesnego dzieciństwa zapamiętany, który, atoli, innego niechybnie mógł dotyczyć poety, nie zaś Mickiewicza. Wskazywana przez p. Śl. i R. kamieniczka należała ongi, na początku zeszłego wieku, do dziada naszego malarza, Marcina (nie zaś Wincentego), następnie jego ojca, Aleksandra Ślendrańskiego, również — jak ś. p. Wincenty — art. malarza, pod Rustemem

w uniw. wileńskim ukształconego. Odyniec w swoich „Wspomnieniach z przeszłości“ nadmienienia, że Antoni Gorecki, poeta — legionista, mieszkał w Wilnie przy placu Ratuszowym. Prawdopodobnie mieszkał w kamienicy Marcina Śl.; mógł też u niego bywać Mickiewicz tak mu bliski potem w Paryżu, gdzie też dotąd żyjąca córka wieszczka wyszła zażamąż za syna A. Goreckiego, Tadeusza, art. malarza. W domu Ślendrańskich ani Odyniec, ani też Mickiewicz nie mieszkali: ani w 1824 r., ani przedtem.

Wiernie, w chronologicznym porządku, gdzieindziej wykazałem, gdzie i kiedy mieszkał w Wilnie autor „Grażyny“ i „Dziadów“. Pierwszy wykryłem dom i mieszkanie, które w r. 1825 Adam zajmował (d. Piaseckiego, dziś Jałowcера przy zaułku Literackim, tudzież inne). Owóż co do domu, przedstawionego w Tyg. 111. na widoku placu Ratuszowego, gdybyśmy się, czytelnicy, odwrócili do niego tyłem, mielibyśmy przed sobą, wprost, ów dom Ważyńskich, potrybunalski, w którym Odyniec z Mickiewiczem lokowali się w r. 1824.

D. N.

Lucyan Uziębło.



Budownictwo ludowe w okolicy Zamościa. 3)



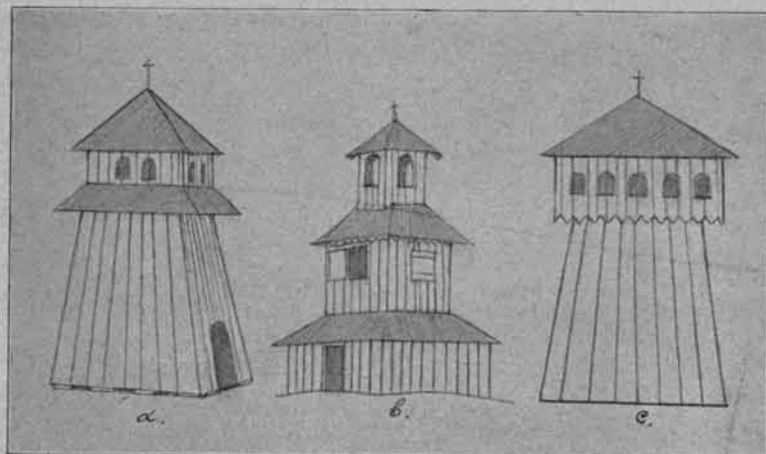
9. KAPLICA M. B. W PODKLASZTORZU
NAD WIEPRZEM.

fol. K. Ruski.

Druga jest bardzo do niej podobna; zawiera ciekawy posążek Matki Boskiej z chustką na głowie i koralami na szyi, oraz nagi kadłub

drewniany bez głowy. Napis brzmi: „Jezusie Nazareński Krulu Żydowski zmiłuj się nad nami. D. 22 St. 1865 r.“

Kaplic większych brak zupełnie. Jedyny wyjątek pod tym względem stanowi okolica Podklasztorze pod Krasnobrodem, gdzie w borze sosnowym, obfitującym w cudowne źródła, miało być dawniej według „Słownika geograficznego“ osiem oddzielnych kaplic. Dziś widziałem tylko cztery, a słyszałem o piątej; innych podobno niema. Okrągła kaplica św. Onufrego, klasztor i piękny kościół tutejszy są murowane, pozostałe trzy, przezemnie widziane, kaplice drewniane. Z tych jedna, pod wezwaniem M. B., stoi jeszcze dzisiaj na krańcu sosnowego boru i zbudowana jest na palach, pogrążonych w wody świętego źródła (fig. 9); dwie inne (św. Antoniego i Matki Boskiej), (fig. 12) bardzo do siebie podobne, znajdują się



rys. K. Ruski. 10 DZWONNICE Z OKOLIC TOMASZOWA I ZAMOŚCIA a) W WIERSZCZYCY, b) W ŚNIATYCZACH, c) W TOMASZOWIE*).

już w czystym polu po obu stronach drogi, wiodącej z lasu do klasztoru.

Znacznie więcej niż kaplic jest tu kościołów i cerkwi: w każdej wsi, gdzie mieszka choć kilku prawosławnych, musi być cerkiew. Stare murowane kościoły znajdujemy w Zwierzyncu, Krasnobrodzie (z XVII w.), Łabuniach (z XV w.), Szczebrzeszynie (z XVII w.) i Zamościu; nowsze w Starym Zamościu, Wielączy, Józefowie, Sitańcu i Komarowie. Cerkiew starą murowaną widzimy w Szczebrzeszynie, nowe murowane w kilku wsiach, jak Lipsko, Cześniaki i t. d. Poza tymi stosunkowo nielicznymi wyjątkami całe budownictwo kościelne jest wyłącznie drewniane; jednak większość cerkwi drewnianych, zbudowanych lub odnowionych przez rząd, nie nosi żadnych śladów sztuki ludowej. Są to naprędce klecone, o powszednim typie budynki, wcale nie odznaczające się pięknem; nie o wiele ciekawsze są nieliczne kościołki drewniane, które znajdujemy tylko w Dubie, Górecku, Sitańcu i Komarowie; w pozostałych wsiach kościelnych spotykamy cerkwie prawosławne. Najpiękniejsze okazy typowej cerkwi tutejszej posiada Wierszczyca pod Tomaszowem (fig. 11) i Suchowola pod Krasnobrodem; typowe kościołki znajdujemy w Sitańcu (fig. 15) i Dubie (fig. 13). W obu ostatnich zwracają uwagę okapy dachów, naśladujące gotyk; na bliższe jednak poznanie zasługuje tylko kościo-

tek sitaniecki. Parafia w Sitańcu założona była już w roku 1485; do niej należała między innymi i wieś Skokówki, to jest dzisiejszy Zamość. Obecny kościół jest trzeci z rzędu i postawiony został w roku 1695. Wedle słów tamecznego kościelnego zbudowany jest z modrzewia, który już dawno przegnił, tak, że musiano go wesprzeć nowymi deskami. O prawdziwie tych słów niepodobna jednak sądzić, cały bowiem kościół jest obity z zewnątrz sosnowymi deskami, a wewnątrz pokryty robotą ścienną; zresztą inni temu przeczą. Babiniec tego kościoła złożony jest z bier-

wion sosnowych i przybudowany został później. Wszystkie drewniane kościoły i cerkwie okolic Zamościa, z bardzo nielicznymi wyjątkami, zaliczyć należy do typu znanego również z Galicyi. Są to świątynie, którym w planie poziomym „brak zupełnie bocznych ramion krzyża, skutkiem czego są one trójdziałowymi¹⁾, to jest rozpadają się na babiniec, nawę i prezbiterium.

Gdzieniedzie przy cerkwiach i kościołach stoją jeszcze drewniane stare dzwonnice; nie są one jednak ani zbyt liczne, ani zbyt zajmu-

¹⁾ K. i T. Mokłowscy „Sprawozdanie z wycieczki odbytej kosztem Komis. do badania hist. sztuki w r. 1904“ w „Sprawozdaniach“ tejże komisji, str. 216.



fot. K. Ruski.

11. CERKIEW W WIERSZCZYCY.

*) Zupełnie podobna jest podana w pierwszym tomie „Wisły“ i pochodzi z Prandocina.



jące. Dzwonnice przy kościele w Dubie i przy cerkwi w Kossobudach — to wysokie czworokątne budy, obite pionowymi deskami i nakryte niskim brogowym dachem; nieco zbliżoną do nich znajdujemy w Siedliskach, ciekawsze zaś są tylko w Śniatyczach (fig. 14b) i Szewni (fig. 10). Szczególnie ta ostatnia zasługuje na baczną uwagę, wiadomo bowiem, że dzwonnice polskie są zabytkiem obronnych drewnianych wież i horodni, a nie wiem, czy znajdzie się jaka, do której tak bardzo można zastosować słowa Mokłowskiego, wypowiedziane na zasadzie świadectw historycznych o horodni: „była to więc budowla czworogranna na zamek¹⁾. Na dole mieścił się skład, zaś na wierzchu dachem okryty był pomost obronny²⁾.”

Pozostaje mi jeszcze nadmienić o budownictwie kościelnym z okolic Tomaszowa i Tyszowic. Dzięki znajomym, otrzymałem stamtąd nieco notatek, rysunków i zdjęć. Stamtąd to pochodzi wiele wyżej wspomnianych domów

¹⁾ Wiązaniem „na zamek“, inaczej wieńcówką, nazywa się sposób budowania, przy którym poziomo ułożoną belkę wiąże się na węglach, wpuszczając ją w drugą. Tak właśnie jest zbudowane dolne piętro naszej dzwonnicy, podczas gdy górna część jest postawiona „na słup“ czyli budowana w ryglówkę.

²⁾ K. Mokłowski „Sztuka ludowa“ str. 360.



12. KAPLICA ŚW. ANTONIEGO W PODKLASZTORZU.

fol. K. Ruski.

podcieniowych i typowa dla okolicy Zamościa cerkiew w Wierszczy; tam znajdujemy znaczną ilość bardzo ciekawych dzwonnicy, jak w Zimnie, Wierszczy (fig. 10a), Tomaszowie (fig. 10c) i wielu innych wsiach; tam wreszcie widzimy cały szereg pięknych cerkwi, o których obszerniej pomówić należy. Zaliczyć je wypada do tegoż typu, co cerkwie i kościoły z okolic Zamościa, jednak wpływ bizantyjski ujawnił się tu w wielościennych kopułach, a tradycje słowiańskie w sobotach czyli podcieniach dookólnych. Wyróżniają je często spotykane podwaliny z wielkich pni drzewnych, wbitych pionowo w ziemię i równo ściętych nad powierzchnią, na których leżą pierwsze bierwiona zrębne. Najpiękniejsze są cerkwie w Zubowicach (fig. 16) i Tyszowcach. Pierwsza pochodzi podobno z r. 1775 i stanowi odmianę wyżej opisanego typu, odmianę, która jest bardzo rozpowszechniona w Galicyi i którą Mokłowski charakteryzuje w sposób następujący: „część środkowa i babiniec jest kwadratem, zaś prezbiterium jest zakończone wielobocznie¹⁾”. Rozumie się, że nasza cerkiew, jak wogóle każdy z okazów wyżej wzmiankowanej



13. KOŚCIOLEK W DUBIE.

fol. K. Ruski.

○○○○○○○○

¹⁾ K. Mokłowski „Sprawozdanie z wycieczki“ str. 216.



fot. K. Ruski.

14. DZWONNICA W SZEWNII.

odmiany, ma swoje indywidualne i piękne właściwości, o których dostateczne pojęcie daje załączony rysunek. Podobną ma być cerkiew w Tyszowcach, a zaś przejściową formę od zubowieckiej do wierszczyckiej posiada cerkiew w Mikulinie, która tem się tylko zasadniczo różni od ostatniej, że przy całkowitem obiciu ścian pionowemi deskami posiada jednak soboty, wsparte na rysiach, t. j. wysuniętych bierwionach zrębu. Na szczególną natomiast uwagę zasługuje stary drewniany kościół w Tomaszowie. O ile mogę wnieść z doręzonego mi rysunku, jest on niezmiernie piękny i oryginalny. Zbudowany z modrzewia, — zamiast babińca, którego wcale nie posiada, ma po obu stronach z przodu dwie wyniosłe wieże drewniane. Dotychczas nie widziałem nigdzie zdjęcia z niego, a rysunek, który posiadam, zbyt jest niedokładny, abym go mógł dołączyć do niniejszego sprawozdania ¹⁾.

Jeżeli teraz streścimy wszystko, co w tym szkicu o okolicy zawartej między Starym Zamościem, Szczepieszynem, Krasno-

brodem i Komarowem powiedziałem, to otrzymamy wnioski następujące: 1) wsie są zabudowane chatami o typie oznaczonym przez Karłowicza jako pospolitszy typ chaty polskiej; 2) w wielu miasteczkach zachowały się jeszcze drewniane domy podcienio-
we i 3) pięknych zabytków budownictwa kościelnego, prócz dzwonnicy w Szewni i poniekąd kościółka w Sitańcu, niema zupełnie. Natomiast w okolicy Tomaszowa i Tyszowiec zwraca uwagę zraczna ilość pięknych dzwonnicy i cerkwi, piękne budownictwo chrześc. w obu tych miastach i wreszcie ze wszech miar godny uwagi modrzewiowy kościół tomaszowski.

Z powyższego zaś streszczenia nie trudno wysnuć następujące wnioski: podczas gdy okolica Zamościa potrzebuje dokładnego zbadania domów podcieniowych i wewnętrznego rozkładu chat, zdjęcia domu z podcieniem narożnym w Dubie i karczmy z takimże podcieniem w Lipsku, okolica Tomaszowa i Tyszowiec wymaga natychmiastowego i dokładnego zbadania wszystkich gałęzi budownictwa drzewnego, ze szczególnem uwzględnieniem cerkwi, kościołów i dzwonnicy, a osobliwie drewnianego kościoła w Tomaszowie.

Kazimierz Ruski.



fot. K. Ruski.

1. KOŚCIOŁEK W SITAŃCU.

¹⁾ Opis i zdjęcie kościoła tomaszowskiego podawał w roku ub. p. Fr. Klein w „Architekcie“ (przypr. red.).



KOLEJĄ NA JUNGFRAU.

Świat się zmienia. Przed stu laty nie dźwięczały druty telegraficzne, nie huczały parowozy, nie unosiły się w powietrzu aeroplany.

Czy z tą zmianą piękniej i lepiej na świecie? czy ludzkość szczęśliwsza? — to zapewne dopiero w dalekiej przyszłości rozstrzygnęte zostanie.

Chwilowo różnorakie maszyny dudnią, pociągi tętnią, zasnuwając coraz gęstsza siecią nie tylko równiny, ale przebiegając ponad wodami, ponad przepaściami, a nawet krocząc zwycięskim pochodem i na wysokie góry.

Praktyczni Amerykanie dali pierwszy przykład, jak na wyżyny dostawać się można bez trudu, byleby mieć tylko pieniądze w kieszeni. W roku 1866 Sylwester Marsh zbudował pierwszą w świecie kolej zębatą na górę Washington w bliskości Bostonu. Dzisiaj żadna nowość nie może pozostać tajemnicą: druty telegraficzne, gazety, książki rozniosą ją szybko po świecie, zresztą — tak łatwo pojechać i na własne oczy się przekonać, co i jak gdzie zrobiono.

Pomysł Marsh'a przepłynął więc bardzo prędko ocean i przyjęty został przedewszystkiem w Szwajcaryi, w kraju gór, w kraju cudnych widoków, w kraju *par excellence* hotelarzy, którzy piękno natury starają się wyzyskać w ten sposób, aby jak najwięcej przynosiło groszy.

Z pieczołowitością i skrzętnością zabrano się do dzieła. Mikołaj Riggenbach buduje już w roku 1871 drogę na Rigi; w jego ślady wstępują ohochnie inżynierowie: Abt, Locher, Strub. W kilka lat miała już Szwajcarya we wszystkich najważniejszych punktach koleje zębate, zbudowane doskonale, a szwajcarscy inżynierowie tak zasłynęli w tym kierunku, że powoływano ich do takich przedsięwzięć — nie tylko do krajów europejskich, ale i do innych części świata.

Już od dwudziestu lat świsnęły lokomotywy na górach szwajcarskich, kalając roślinność brudnym dymem, przerywając błogą ciszę, płosząc ptactwo i zwierzęta; — jedyna Jungfrau, perła Oberlandu, „gór nadalpejskich śnieżysta dziewica“, miała szatę nieskalaną; kto się chciał dostać na jej szczyty, aby tam — na wysokościach — porozmawiać z duchem własnym, musiał się utrudzić niemało. I nie wielu na taki krok zdobyć się potrafiło. Niepokalana Jungfrau nie dała się deptać bezkarnie. Przez długie wieki nikt zgoła, nawet żaden z najśmielszych myśliwych, nie odważył się dotknąć jej śnieżnej korony. Zaledwie przed stu laty, bo w roku

1811 dwaj bracia, Rudolf i Hieronim Meyerowie, weszli na jej szczyt najwyższy, a do roku 1851 tylko czterech znaleźli naśladowców.

Myśl zaprowadzenia kolei na Jungfrau zaprzęta jednak umysły szwajcarów: coraz nowe powstawały projekty, zawiązywano spółki.

W roku 1890 zbudowano kolej nad obu Luczynami z Interlaken do Lauterbrunnen i Grindelwaldu, zbliżano się więc na skrzydłach pary coraz bardziej do pięknej Jungfrau, a umysły zapalały się coraz goręcej, aby wlecieć na jej szczyt, czy to za pomocą kolei żelaznej, czy sznurowej, czy ścieśnionego powietrza.

Wszystkie projekty okazały się jednak niewykonalne lub niepraktyczne.

W roku 1893 przemysłowiec zürichski, Adolf Guyer-Zeller, człowiek zdolny i bardzo energiczny, spędził wakacje w Mürren. Stamtąd ze swoją córką zrobił wycieczkę na Schildhorn. Przy wejściu na górę ujrzał w świetle słonecznym cały łańcuch berneńskiego Oberlandu, od którego oddzielała go wązka i głęboka dolina Białej Luczyny. Najwięcej zachwycała go Jungfrau, tak odbijająca swą śnieżną białością od ciemnego szczytu Mnicha. Mimo woli zaczął rozmyślać nad pogrzebanymi projektami kolei na Jungfrau, o których się tyle rozpisywały gazety.

I zwrócił oczy na lewo, w stronę Mnicha, zboczów Eigera, aż do Małej Scheidegg. Tam spostrzegł pociąg kolei, otwartej zaledwie przed paru tygodniami, łączącej przez Alpy Węgern Lauterbrunnen z Grindelwaldem. Jak błyskawica — przeszła nagle myśl nowa jego mózg. „W Małej Scheidegg kolej wznosi się na 2064 metrów nad poziom morza, z tego trzeba skorzystać, z tego punktu trzeba kolej przeprowadzić na Jungfrau! Ponieważ szczyt Jungfrau wynosi 4167 metrów, praca więc w wyżym zmniejszy się o przeszło 2100 metrów...“

I dalej snuł projekt, zakreślając w myśli linię, nie najkrótszą z Małej Scheidegg, bo taka musiałaby być bardzo prostopadła, lecz przez Eigera i Mnicha aż het! do najwyższych szczytów Jungfrau...

Projekt Zellera stał się wkrótce czynem. Zawiązała się spółka z kolosalnym kapitałem.

W roku 1899 oddano już do użytku publicznego przestrzeń kolei od Małej Scheidegg do Gleczerów Eigera; w roku 1903 do stacji: Ściana Eigera, w roku 1905 do stacji: Morze



lodów, a niezadługo cała linia ma być ukończona.

Do art. BUDOWNICTWO LUDOWE W OKOLICY ZAMOŚCIA.

*

Od roku 1861, to jest od czasu, gdy ścieżki jako tako zostały wytknięte, za ledwie kilkanaście osób wchodziło rocznie na Jungfrau. Obecnie podług wykazanej statystyki — kolejną wjeżdża w ciągu lata 75,000. Łatwiej zapłacić 52 franki, wsiąść do wygodnego wagonu, niż pięć się nad zawrotnymi przepaściami, brodzić w śniegu, przechodzić z trudem przez pola lodowców.

Wchodzimy w skład tegorocznej cyfry statystycznej —

nie z chęci, lecz z konieczności. Brak stałych nóg, brak sił do drapania się wzwwyż, a tak się pragnie być na wysokościach, zdała od mrówczej krzątanimy życiowej, choćby na czas bardzo krótki, choćby na chwilę...

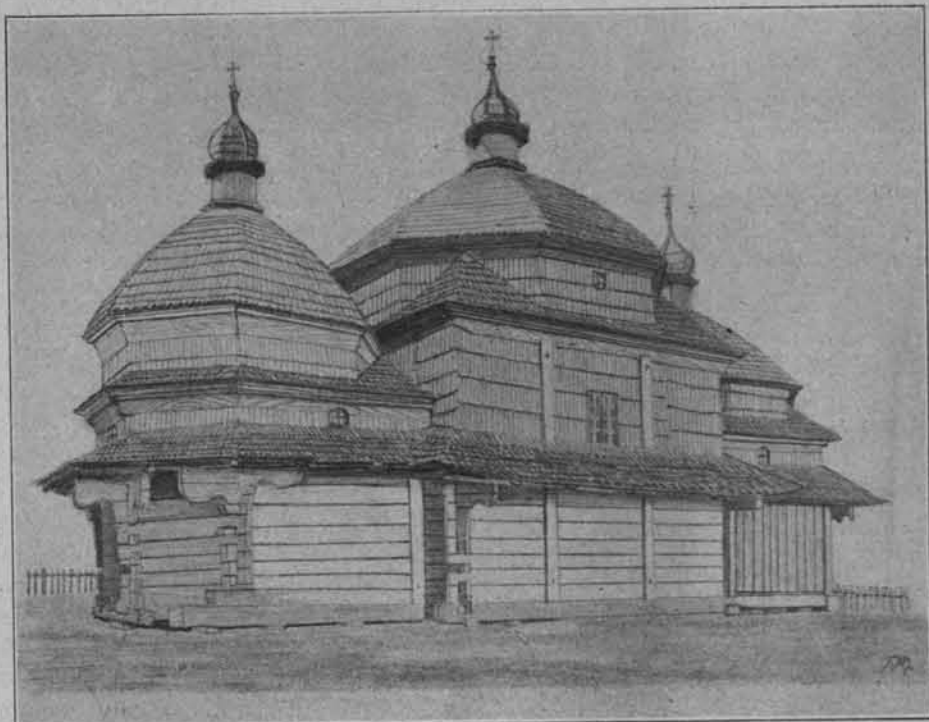
Dzień wymarzony. Potoki słońca zalewają Interlaken, a biała Jungfrau, w jasnych promieniach jeszcze piękniejsza, zdaje się uśmiechać i do siebie zapraszać. Wrażliwsi dostrzegają wyraźnie kontur twarzy i kształty ciała, spoczywającego wśród śniegów.

Wsiadamy do wagonu. Humory wyśmieniłe, bo wesołość jak i smutek są zaraźliwe.

Jeden z towarzyszków zaczyna deklamować:

„Pójdźmy razem na śniegu korony!
Pójdźmy razem na sosnowe bory,
Pójdźmy razem, gdzie trzód jęczą dzwony,
Gdzie się w tężowe ubiera kolory
Jungfrau i słońce złote ma przed sobą;
Gdzie we mgle jeleni przelatuje skory,
Gdzie orły, skrzydeł rozwianych żalobą,
Rzucają cienie na lecące chmury“.

— Daj pan pokój Słowackiemu, odzywa się ten „trzeźwy“, który się zawsze znajdzie w każdym większym kółeczku. Nie idzie pan, tylko jedzie; gada pan o mgle i chmurach, a tu po-



pg. fotografii rys. K. Ruski.

16. CERKIEW W ZUBOWICACH.

goda, jak na obstalunek. Lepiej nie wywoływać licha, niech śpi cicho...

Garstka Polaków się śmieje, inni nie rozumieją, lecz patrzą na nas. A towarzystwo z wielu krain: prócz naszej gromadki, Belgijka, holenderka, holender, Francuz, młody Węgier, Rosyanin, nawet Turzek, ale nie turysta, tylko z towarami. Zajął mu holenderka miejsce przy oknie (miejsce naprzód zakładać nie wolno), wymyśla więc, co się zmieści, łamaną francuszczyzną. Ona udaje, że nie rozumie, co go do tem większej niecierpliwości doprowadza, a cały wagon się śmieje i dowcipy lecą jak race.

Jakże miło otrząsnąć się z pyłu codziennych trosk i codziennych zajęć.

Jedziemy ponad Luczyną, zakreślając duży łuk. Wylania się Rothenhorn. Przebywamy dłuższe i krótsze tunele — w uroczych dolinach wodospady szumią, — widoki coraz piękniejsze i coraz więcej urozmaicone.

Most na Czarnej Luczynie. Przed oczami groźny Wetterhorn. Połączenie obu Luczyn, stacya tego nazwiska.

Z pomocą zębatej kolei pniemy się coraz wyżej ponad Białą Luczyną przez śliczne lasy doliny Lauterbrunnen, wśród wysokich skał wapiennych.



Wśród takichże skał wioska Lauterbrunnen, a ze skał z głośnym szumem mnóstwo strumyków spływa, nadając tem nazwisko miejscowości. W osłoniętej dolinie — w lipcu o siódmej dopiero można ujrzeć słońce, a w zimie o jedenastej. Poza skałami w stronie przeciwnej widać śnieżne szczyty: na lewo — to Jungfrau, na prawo — Breithorn.

I znowu żelazna droga zawraca w tył, zakręca nowy łuk, wspina się przez wiadukty, przebywa mosty i jeszcze raz widok niezapomniany — na Lauterbrunnen i całą dolinę.

Jesteśmy w Wengern. Stacja klimatyczna. Od południa góry się jeżą, szczyty się bielą, lodowce błyszczą w słońcu — różnych odcieni barwą niebieską. Potoki czystego powietrza, spływające do płuc, zdają się piersi rozszerzać. Zmysły upojone: wzrok, powonienie, a poniekąd i słuch.

Od stacji Wengernalp widać Jungfrau jak na dłoni, zdaje się tuż, tuż — oddziela nas jednak przestrzeń czterech kilometrów. Wysuwające się dwa jej szczyty — to Silberhorn i Schneehorn; najwyższy ukrywa się za Mnichem, który, jakby zazdrosny o swą wieczystą towarzyszkę, nie rad jej oku ludzkiemu odsonić.

Cudne jest Wengernalp! Swą zielenią i krają zdaje się zapraszać do dłuższego w niem pobytu. Około stacji piękne hotele z barwnymi

kwiernikami, choć to już 1878 metrów nad poziom morza.

Przystanek krótki. Jedziemy dalej. Kolej zębata ciągnie nas coraz wyżej i niebawem jesteśmy w Małej Scheidegg.

Przed kilkunastu laty nie było tu żadnego domu. Wązka ścieżyna prowadziła tylko z Scheidegg na Wengernalp. Dzisiaj około stacji ruchu i życia. Lokomotywy świszczą, podróżni wysypują się z wagonów (czasami do 3000 dziennie), słychać najrozmaitsze języki, turyści cisną się do ogromnej lunety, zwróconej na Jungfrau.

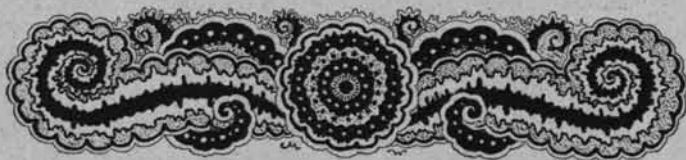
Widzę przy Jungfrauoch trzy czarne drobne postacie. To jakiś niestrudzony i odważny miłośnik gór idzie z dwoma przewodnikami na Jungfrau. Sznurem związani, idą najprzód wolno, bardzo wolno, Widać, ile każdy krok wymaga wysiłku, ile każde przejście z jednego lodowego progu na drugi pociąga za sobą niebezpieczeństwa... Jednak — bez trwogi — posuwają się ciągle naprzód...

Nam — gromadzie filistrów, jadących koleją — wygodniej, bezpieczniej! Ale — czyż doznamy tych samych uczuć i wrażeń, gdy stanimy u celu, jak tamten odważny i mocny?..

W Małej Scheidegg zaczyna się właściwa droga na Jungfrau. Stoi kilka przygotowanych pociągów, jeden za drugim. Każdy pociąg składa z elektrycznej lokomotywy i dwóch wagonów, mogących pomieścić 80 osób.

D. N.

Jadwiga Warnkówna.



Z Pol. Tow. Krajoznawczego.



+ Na zebraniu miesięcznym Oddziału Kaliskiego w dniu 27 marca obecnych było około 40 osób, które z wielkim zajęciem wysłuchały referatu pani Kazimiery Kolskiej, zawierającego sprawozdanie z książki p. Jana

Belcikowskiego pod tytułem „Pamiętniki nauczyciela na pensji”. Prelegentka następnie wyjaśniła, że — zdaniem jej — pewne tematy literackie mogą mieć związek ideowy z celami i zadaniami krajoznawstwa, poczem treściwie a zajmująco przed-

stawiała treść omawianej książki i zastanowiła się bliżej nad jej myślą przewodnią. Po referacie wywiązała się wśród zebranych bardzo długa i ożywiona dyskusja, której konkluzją ostateczną było stwierdzenie, że miłość ojczyzny i wszechstronne poznanie swego kraju nie dadzą się pomyśleć jedno bez drugiego.

W końcu marca zarząd Oddziału Kaliskiego rozesał około 400 egzemplarzy kwestyonaryusza, zawierającego pytania co do znajdujących się u osób prywatnych zbiorów i okazów ze wszystkich dziedzin krajoznawstwa wraz z propozycją ofiarowania lub odprzedania takowych do zbiorów Oddziału. Na kwestyonaryusz ten otrzymano 15 odpowiedzi, wśród nich kilka zawierających obietnicę ofiarowania pewnych przedmiotów do muzeum.

W dniu 23 kwietnia po południu odbyła się pie-



sza wycieczka na Zawodzie pod Kaliszem w gronie 25 osób.

W dniach 27 i 28 kwietnia odbyła się wycieczka do Łodzi. Część uczestników wyjechała z Kalisza w sobotę 27/IV po południu i nocowała w Łodzi, pozostali przyjechali do Łodzi w niedzielę 28/IV w południe. Wycieczka liczyła uczestników około 90 osób (wraz z młodzieżą szkolną). Zwiedzono nowy gmach szkoły handlowej, centralną stację tramwajów elektrycznych, park w Helenowie, a przede wszystkim wystawę „Krajobraz polski“, gdzie dla uczestników wycieczki p. Aleksander Janowski wygłosił przepiękną pogadankę o krajobrazie. Zarząd Oddziału Kaliskiego uważa za swój obowiązek wyrazić na łamach „Ziemi“ podziękowanie członkom zarządu Oddziału Łódzkiego i jego sekcji wycieczkowej, pp. Adamowiczowi, Jasińskiemu, i Wróblewskiemu, za troskliwą opiekę i nadzwyczajną gościnność, jakiej wycieczka od nich doznała.

oooooooo

Ze stowarzyszeń.

Polskie Towarzystwo Krajoznawcze we Lwowie.

Pod tym tytułem — Organ Krajowego Związku Zdrojowisk i Uzdrowisk „Nasze źródła“ podaje szczegółowe informacje o dalszym przebiegu podjętej na początku roku bieżącego sprawy utworzenia w Galicyi organizacji o podobnym do naszego Tow. Krajoznawczego zakresie, o czem donosiliśmy w № 16 „Ziemi“ (20 kwietnia r. b.) w rubryce *Kroniki krajoznawczej*. Pomimo, iż organizatorowie w akcji swej główny nacisk, przynajmniej na razie, kładą na rozwój turystyki krajowej, to jednak ze względu że rzecz zainteresować musi wszystkich krajoznawców, pracujących na terenie Królestwa, informacje organu lwowskiego podajemy poniżej w całości.

„W ostatnich kilku latach wzrósł niezmiernie w Galicyi ruch wycieczkowy, podtrzymywany głównie przez młodzież szkół wyższych i średnich. W górach zaroilo się od turystów — którzy już nie ograniczają się, jak dawniej, do zwiedzania Tatr, Pienin, Babiej Góry i Czarnohory, ale obejmują całe Beskidy, nie wyłączając nawet dzikich i niedostępnych szczytów Gorgan. I zabytki historyczne i artystyczne cieszą się coraz to wzrastającą popularnością; zamki w Olesku i Podhorcach, mury w Melsztynie, Czorszynie, Tenczynku, Skit Marniawski, piękne zabytki budownictwa ludowego drewnianego, jak kościołek w Dębnie na Podhalu, lub cerkiew w Rozluczu, stylowe, stare synagogi w Belzie, Żółkwi i Kamionce Strumiłowej, z każdym rokiem więcej ku sobie ciągną zwiedzających. Stosuje się to i do innych pięknych a dotychczas zapomnianych okolic kraju, jak Miodobory z malowniczym przełomem Zbrucza pod Satanowem, przepiękny jar Dniestru na granicy powiatów buczackiego, horodeńskiego, zaleszczyckiego i Bukowiny, Po-

dole ze swymi zamkami, wykopaliskami archeologicznymi, jaskiniami w Krzywcu i Złotem Bilczu, jarami Złotej Lipy, Strypy i Seretu i wiele, wiele innych.

Brak towarzystwa, które zajęłoby się popularyzowaniem krajoznawstwa, już to teoretycznie przez odpowiednie wydawnictwa o charakterze informacyjnym, już to praktycznie przez ułatwianie i organizację zbiorowych wycieczek, szczególnie młodzieży, dawał się bardzo odczuwać. Nie mogło temu zaradzić ani Towarzystwo Tatrzańskie i jego oddziały, ograniczające swą pracę do Tatr i Karpat, ani mniejsze organizacje akademickie, nauczycielskie lub gimnazjalne, zajmujące się organizacją wycieczek po kraju, ani Krajowy Związek Turystyczny w Krakowie.

Ten ostatni założony w r. 1906 za inicjatywą rządu wiedeńskiego, na wzór istniejących w krajach austriackich „Landesverband für Fremdenverkehr“, zawiódł w zupełności pokładane w nim nadzieje. Mimo sześćoletniego istnienia, poparcia przez władze rządowe i autonomiczne i subwencji, dochodzących w ogólnej sumie 100,000 koron — nie zdobył się dotychczas na żaden czyn o większym znaczeniu. Wydał wprawdzie dwa małe przewodniki po Lwowie i Krakowie, ale te z powodu obfitej literatury turystycznej, poświęconej tym miastom, są zupełnie zbyteczne; wydany zaś przez niego przewodnik po Zakopanem jest nietylko zbyteczny, wobec istnienia wielu lepszych, ale z powodu swej niedokładności, raczej za winę, niż za zasługę K. Z. T. poczytany być musi. Również inspirowana z Wiednia działalność jego, zmierzająca do ściągnięcia pruskich niemców w polskie góry przez wydawanie dla nich niemieckich przewodników a w konsekwencji ich zniemczanie rozmaitymi „Touristenheimami“ i „Schlesienhausami“, podobnie jak się to stało z Beskidami Śląskimi i Tatrami po stronie węgierskiej, — nie może także budzić w społeczeństwie polskim (wylęczając naturalnie od właścicieli hotelów, fiaków i kinematografów) żadnego zachwytu. Stąd brak poparcia towarzystwa i zadziwiająco mała (260) liczba członków Krajowego Związku Turystycznego w Krakowie, który podwójnie pod tym względem przewyższa Akademicki Klub Turystyczny we Lwowie, dziesięciokrotnie Towarzystwo Tatrzańskie, a piętnastokrotnie Polskie Towarzystwo Krajoznawcze w Warszawie.

Za największą winę K. Z. T. uważanym być musi fakt, że w ciągu sześcioletniej działalności nie zdołał zebrać materiałów i wydać przewodnika turystycznego po Galicyi, bez czego urządzenie wycieczek jest bardzo trudne.

Mysł zawiązania nowej organizacji turystycznej, obejmującej cały kraj, kielkowała we Lwowie już od dłuższego czasu. Grono osób ożywionych tą myślą, zebrało się w lutym r. b. i pod przewodnictwem prof. E. Romera radziło nad jej urzeczywistnieniem. Postanowiono na razie nie rozdzwajać akcji i zwrócić się do Krajowego Związku Turystycznego z propozycją założenia we Lwowie jego



filli. Równocześnie niemal z podobną myślą wystąpił też Krajowy Związek Zdrojowisk i Uzdrowisk— a rezultatem jej było kilka zebrań i rokowania z Krajowym Związkiem Turystycznym.

K. Z. T. wobec propozycji lwowskich o zmianę statutu i reorganizację towarzystwa w kierunku równorzędności oddziału lwowskiego i krakowskiego zachował się odmownie— żądając natomiast organizacji w ramach obecnego statutu, która miałaby na celu starania o wzmożenie we Lwowie „międzynarodowego“ ruchu turystycznego.

Wobec tego, dla naradzenia się nad dalszą akcją, odbyło się w lokalu Krajowego Związku Zdrojowisk w piątek, 12 kwietnia bardzo liczne zebranie obywatelskie, któremu przewodniczył dr. K. Krzyżanowski, a po referacie dr. Orłowicza w bardzo ożywionej dyskusji brali udział poseł do R. p. dr. Aleksander Lisiewicz, prezes Związku Sokolego dr. X. Fischer, radni miejscy dr. Mikołajski i Ihnatowicz, reprezentant Izby handlowej p. Gubryniewicz, inż. W. Dzieślewski i Libański, dr. Kordys, dr. Kossowin, p. Sokołowski i wielu innych. Po czterogodzinnej dyskusji powzięto następujące wnioski:

1) Wniosek dr. R. Kordysa: Zebranie, przyjmując do wiadomości pismo K. Z. T. z daty 3, IV, 1912, uważa na razie za nieaktualne założenie we Lwowie filli lub sekcji K. Z. T.

2) Wniosek dr. Orłowicza: Zebrani uważają za potrzebne założenie we Lwowie towarzystwa, z działalnością wzorowaną na statucie i działalności Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego w Warszawie, a rozciągającą się na Galicyę i Śląsk Cieszyński. Zadaniem towarzystwa ma być popularyzacja wiadomości, dotyczących wszelkich dziedzin krajoznawstwa, zapoznanie polskiego społeczeństwa z własnym krajem i ułatwienie mu jego zwiedzania— już to przez odpowiednie publikacje, już to przez popieranie i współdziałanie z istniejącymi w kraju polskimi towarzystwami turystycznymi. Dla opracowania statutu wybiera zebranie komisję z pięciu członków, polecając jej wniesienie statutu do ministerstwa w przeciągu dni dziesięciu— a dla przygotowania działalności przyszłego towarzystwa, komitet organizacyjny z ośmiu członków, prócz członków komisji statutowej.

3) Wniosek dr. Kordysa i dr. Mikołajskiego: Zebranie postanawia założenie sekcji Turystycznej Krajowego Związku Zdrojowisk i Uzdrowisk dla poparcia ruchu turystycznego w miejscowościach kąpielowych i klimatycznych, oraz ich okolicy— a jej organizację poleca się temu samemu komitetowi organizacyjnemu, z tem, że aż do czasu zatwierdzenia statutu Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego działać może jako sekcja K. Z. Z. i U.

Na członków komisji statutowej wybrano: prof. dr. Eugeniusza Romera, posła do R. p. dr. Aleksandra Lisiewicza, będącego równocześnie wiceprezesa Krajowego Związku Turystycznego we Lwowie, wiceprezesa Krajowego Związku Uzdrowisk dr. K. Krzyżanowskiego, byłego redaktora „Taternika“ dr. Romana Kordysa i prezesa Akademickiego Klu-

bu Turystycznego we Lwowie dr. Mieczysława Orłowicza; członkami Komisji organizacyjnej zaś nadto prezesa Karpackiego Towarzystwa Narciarzy dr. Tadeusza Smoluchowskiego, byłego prezesa Sekcji Turystycznej T. T. dr. Zygmunta Klemensiewicza, docenta uniwersytetu— znanych ze swej pracy w towarzystwach turystycznych i wypraw naukowych w kraju i zagranicą asyst. uniw. dr. Antoniego Jakubowskiego i dr. Tadeusza Ostrowskiego, a wreszcie najwybitniejszych organizatorów wycieczek młodzieży szkolnej, profesorów dr. Ludwika Bykowskiego, Mieczysława Kistryna, dr. Stanisława Łabendzińskiego i Lecha Łańcuckiego.

Stosownie do otrzymanego polecenia Komisja statutowa opracowała i wniosła do ministerstwa statut, którego najważniejsze postanowienia są takie:

Towarzystwo nosi nazwę „Polskie Towarzystwo Krajoznawcze we Lwowie“; działalność jego rozciąga się na Galicyę, Bukowinę i Śląsk Cieszyński, a jego celem jest zaznajomienie polskiego społeczeństwa z własnym krajem i ułatwienie mu jego zwiedzania. Do tego celu zmierzać będzie towarzystwo przez zbieranie wiadomości, dotyczących krajoznawstwa polskiego, organizację wycieczek zbiorowych po kraju, szczególnie z pośród kształcącej się młodzieży, utrzymywanie miejscowych muzeów krajoznawczych, popularyzację wiadomości geograficznych, etnograficznych, archeologicznych, przyrodniczych, oraz związanych z historią sztuki, dotyczących ziem polskich i krajów przyległych, historycznie lub geograficznie z nimi związanych— dalej przez utrzymywanie potrzebnych do tego zbiorów i bibliotek, urządzenie odczytów popularnych, urządzenie wystaw krajoznawczych, wydawanie przewodników turystycznych, map, albumów i kart z widokami najpiękniejszych okolic kraju, własnego czasopisma, a wreszcie roztaczanie opieki nad zabytkami sztuki, pamiątkami historycznymi i osobliwościami przyrodniczymi w kraju. Członek czynny ma opłacać 2 kor. wpisowego i 4 kor. rocznej wkładki, wspierający 10 kor. rocznie, założyciel 100 kor. jednorazowo.

Nadto istnieć będą uwolnieni od wkładek członkowie-korespondenci, mający za zadanie ułatwiać pracę Towarzystwu przez nadsyłanie wiadomości dotyczących krajoznawstwa w rozmaitych częściach kraju.

Wydział składać się będzie z przewodniczącego, dwóch jego zastępców, sekretarza, skarbnika i 12 wydziałowych. Prezydium wybierane będzie co roku, wydziałowi na lat trzy, przyczem co roku ma ustępować trzecia część wydziału.

Dla zapewnienia towarzystwu jak najszerzego rozwoju, istnieć będą oddziały prowincjonalne, z własnym zarządem i majątkiem, których członkowie mieć będą wszelkie prawa członków towarzystwa.

Po ułożeniu i wysłaniu statutu odbyło się zebranie całego komitetu organizacyjnego, na którym ukonstytuował się on, wybierając przewodniczącego prof. E. Romera, sekretarza dr. M. Orłowicza.



Omówiono program przyszłej działalności Towarzystwa, postanawiając na razie rozwinąć jak najszerszą agitację przez prasę i odezwy, celem zjednania mu jak największej ilości członków i zapewnienia poparcia całego społeczeństwa. Czas do wakacji postanowiono użyć głównie na prace organizacyjne, oraz na urządzenie w czasie wakacji kilku zbiorowych wycieczek po kraju dla kształcącej się młodzieży, przy współdziałaniu Krajowej Rady Szkolnej. Działalność odczytową i wydawniczą postanowiono rozpocząć dopiero w jesieni, ograniczając się w lecie do popierania działalności odczytowej Sekcji Turystycznej K. Z. Z. i U. po zdrojowiskach.

Projekt stworzenia i pracy nowego Towarzystwa spotyka się wszędzie z ogromną sympatią—ze względu na osoby, biorące udział w jego tworzeniu i sądzimy, że potrafi się ono należycie wywiązać ze swego zadania: zaznajomienia społeczeństwa polskiego z krajem ojczystym i ułatwienia mu jego zwiedzania, i że dorówna działalnością Polskiemu Towarzystwu Krajoznawczemu w Warszawie, z którym zamierza pozostawać w jak najściślejszych stosunkach“.

Ze swej strony organizatorom Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego we Lwowie składamy gorące życzenia najpomyślniejszego rozwoju łączącej nas idei na tak blizkim nam terenie.

+ Posiedzenie wydziału III-go Towarzystwa Naukowego Warszawskiego odbyło się dnia 18 b. m. Przedstawiono komunikaty następujące:

1) p. E. Malinowski: „O heterothalii kilku porostów tatrzańskich“ (przedstawił p. Z. Wóycicki).

2) p. A. Czartkowski: „Wpływ światła na działanie diastazy, a znaczenie biologiczne diastazy“ (przedstawił p. Z. Wóycicki).

3) p. Ryszard Hertz: „O pochodzeniu komórek plazmatycznych“ (przedstawił p. Władysław Janowski).

4) p. J. Tur: „Spostrzeżenia nad owotomią wewnątrzjajnikową u ssaków“.

5) p. W. Sierpiński: „Dowód przeliczalności ekstremów właściwych“.

6) p. J. Kaulbersz: „Spostrzeżenia biologiczne nad Amphipoda i Isopoda“ (przedstawił p. J. Sosnowski).

dziela E. Postela pt. *Vademecum für Freunde der Pflanzenwelt*, dokonany przytem nie z oryginału, lecz z rosyjskiego tłumaczenia p. M. Meliorańskiego. Klucz Postela do oznaczania roślin kwiatowych, pomimo tego, że synonimika i systematyczny układ roślin w nowszych czasach uległy dość ważnym zmianom, nie stracił dotąd swego pedagogicznego znaczenia. Zręcznie ułożone tablice dychotomiczne, oparte na cechach łatwo dostrzegalnych już gołym okiem, połączenie popularnych tablic z dość obszernymi i dokładnymi opisami gatunków, sprawiają, że początkujący przy użyciu tej książki, od razu uczy się dostrzegać uchodzące przy powierzchownem oglądaniu rośliny różnice i stopniowo przyzwyczajają się do ścisłego języka botaniki opisowej. To też wielu botaników stawiało przy pomocy Postela pierwsze swe kroki na niwie poznania flory ojczystej, i długo zapewne jeszcze będzie służyć on za przewodnik dla początkujących młodych badaczy. Z tego powodu zupełne uznanie należy się p. Gr. Chmielewskiemu za to, że przyswoił to dziełko naszej literaturze popularno-naukowej. Przekład na ogół zadowolniający, razi tylko używanie wszędzie wyrazu „familia“ zamiast dziś ogólnie przyjętego „rodzina“, a także niektóre terminy jak buracznikowe (zam. ogórecznikowate lub szorstkolistne), rośliny sporowe (zam. zarodnikowe), przedstawiają się jako rusycyzmy. Ale takich błędów bardzo niewiele.

Przekład Postela został w wielu miejscach uzupełniony przez tłumacza dorywcze notatkami, dotyczącymi występowania niektórych gatunków w Królestwie Polskiem, co bezwątpienia podnosi wartość książki. Wolelibyśmy coprawda, aby notatki te były pełniejsze i obejmowały pewną geograficzną całość, np. całe terytorium Polski etnograficznej, ale praca taka wymagałaby już więcej czasu, choć wtedy treść książki całkowicie odpowiadałaby temu, co zapowiedziano w tytule. Pożądanym byłby także słowniczek terminów botanicznych z najskromniejszymi choćby schematycznymi rysunkami. Słowniczek taki w przekładzie rosyjskim się znajduje i, jak mogę stwierdzić z własnego doświadczenia, może okazać się bardzo pożytecznym. Tymczasem tłumacz słowniczek ten pominął, przyobiecane zaś w części I-szej przewodnika alfabetycznego terminów botanicznych z rysunkami, który miał być pomieszczony na końcu całego dzieła, nie znajdujemy wcale.

Co do szaty zewnętrznej, to papier dość dobry, druk wyraźny, razi tylko niezbyt staranna korekta w nazwach łacińskich, gdzie spotykamy dość liczne błędy drukarskie. Niektóre z nich zresztą zostały sprostowane na końcu dzieła.

Dr. J. Trzebiński.

Nowe książki.

Klucz do oznaczenia roślin, spotykanych na wycieczkach botanicznych według Postela, przełożył, uzupełnił i do flory polskiej zastosował Gr. Chmielewski, magister nauk przyrodniczych b. Szkoły Głównej w Warszawie. Lublin 1909 i 1911 (dwie części). Jest to przekład przestarzałego już częściowo



Kronika krajoznawcza.

Korespondent nasz ze Śląska cieszyńskiego donosi, co następuje:

Rozpoczynając przegląd ważniejszych wiadomości bieżących z dziejów Śląska cieszyńskiego, muszę przedewszystkiem zaznaczyć, że będą one miały nieco inny charakter, niż go mają wiadomości z innych części Polski. Tu kultura polska jest dopiero w zawiązku. Dotąd na tem polu pracowali wyłącznie Niemcy i trochę Czesi. Niemieckie są oba muzea cieszyńskie: miejskie, utworzone niedawno z inicjatywy oficera Weissmanna, i drugie, założone przy końcu XVIII wieku przez ekszjeuitę Leopolda Szersmika, obecnie mocno zaniedbane, ponieważ ani rząd krajowy ani miasto nie troszczą się o nie, choć jest to ogromnie cenny zbiór rękopisów, książek, okazów sztuki i przyrody. Wogóle miasto niewiele dba o przechowanie zabytków, dotyczących dziejów swoich; rękopis, zawierający protokół z obrad miejskich z wieku XVII, znaleziono na śmietniku wyrzucony; uratował go tylko ks. Londzin, któremu go przyniesiono i umieścił wśród gromadzonych przez siebie zbiorów muzeum ilgskiego. To muzeum także nie jest tak urządzone, żeby można było z niego korzystać. Umieszczone jest w suterynach gmachu seminarium nauczycielskiego, poza Cieszynem, na Bobrku; na lepsze umieszczenie i oddanie go do użytku publicznego brak środków. Nie może ich dostarczyć Towarzystwo ludoznawcze, które jest jego nominalnym właścicielem. Założono je przed 10 laty, ale od tego czasu odbyło zaledwie może dwa zgromadzenia, nie wiadomo więc, czy ma członków, czy oni płacą składki, czy ono wogóle jeszcze istnieje. Tak samo ma się rzecz z jedynym kwartalnikiem literackim polskim, „Zaraniem ilgskim“, które jest własnością Towarzystwa ludoznawczego; w ciągu całego roku ubiegłego nie wyszedł ani jeden zeszyt. Obecnie przygotowuje się podobno druk wszystkich czterech numerów razem, a skoro się ukaże, nie zaniedbam z niego zdać sprawę w „Ziemi“.

Praca nad kulturą rodzimą utrudniona jest przez stosunki polityczne; walka o byt polityczny, obrona

przed wynarodowieniem ludności polskiej, pochłania tak dużo czasu, że na działalność kulturalną często już go nie starczy. Obecnie np. zajmuje się opinia polska żywo próbami porozumienia z Czechami. Nacisk żywiołu niemieckiego i zaczynające się wypieranie Czechów ze stanowisk, które dotąd prawie wyłącznie zajmowali, czyli zagrożenie ich stanu posiadania na Śląsku cieszyńskim, spowodowało, że pierwsi zgłosili swą gotowość do zawarcia ugody z Polakami przez memoriał Rady narodowej (ogłoszony w Kurjerze Warszawskim). Po naradzie odbytej przez przedstawicieli Śląska i delegatów Rady nar. galicyjskiej ukazała się odpowiedź, która prostując błędne twierdzenia, zawarte w memoriale czeskim, równocześnie zaznacza, że ludność polska od porozumienia się nie usuwa, że chętnie weźmie udział w obradach, mających na celu, jeżeli nie usunięcie zupełne, to przynajmniej załagodzenie sporu polsko-czeskiego na Śląsku, który wychodzi na korzyść Niemców. W tej samej sprawie czeski „Deník Ostravský“ urządził pewnego rodzaju ankietę i umieszcza odpowiedzi nadesłane. Świeżo drukował odpowiedzi posła śląskiego Halfara, który nawołuje do zgody i przytacza jako przykład stosunki w tym względzie w gminie, gdzie jest od szeregu lat wójtem. Wrażenie jego odezwy osłabia fakt, że został po raz pierwszy posłem sejmowym przeciw kandydatowi polskiemu, z którym zasiadał razem w zarządzie tego samego towarzystwa „Związku śląskich katolików“, za drugim razem zaś sam się narzucił na kandydata tego Związku wbrew popieraniu przez Związek innemu kandydatowi, zdecydowanemu Polakowi; że wreszcie w swojej gminie dopomógł Czechom do uzyskania przewagi i może uchodzić równie dobrze za przedstawiciela Czechów jak Polaków, a w danym razie gotów jest też stanąć po stronie Niemców. Charakterystyka tego posła jest zarazem wiernym obrazem stosunków ilgskich politycznych i narodowych.

oooooooooooo

TREŚĆ: *Leszczyć* — Nałęczów dzisiejszy i jego znaczenie (z 2 ryc.) (dok.). *Lucyan Uziębło* — Dom po trybunalski w Wilnie (z placu ratuszowego) (z 2 ryc.). *Kazimierz Ruski* — Budownictwo ludowe w okolicy Zamościa (z 8 ryc.) (dok.). *Jadwiga Warnkówna* — Koleją na Jungfrau. — Z Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego. — Ze stowarzyszeń. — Nowe książki — Kronika krajoznawcza.

Winiętę tytułową i ozdoby w tekście rysował Mikołaj Wisznicki. — Odbito w tłoczni A. Pęczalskiego i K. Marszałkowskiego. — Składał i łątał Ignacy Poniatowski. — Odbijał na maszynie Jan Janczak. — Klisze wykonano w zakładzie B. Wierzbickiego i S-ki. — Papier krajowy z fabryki A. Moesa w Pilicy.

Redaktor i Wydawca Kazimierz Kulwieć.